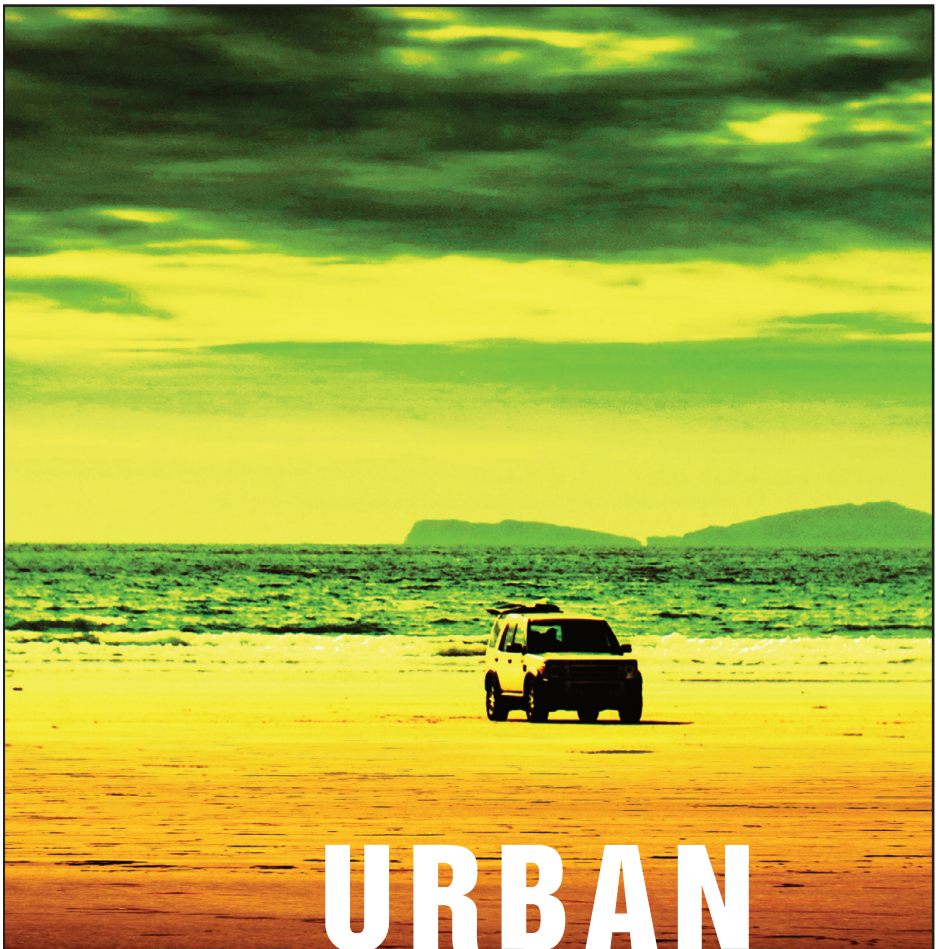




URBAN WAITE

Na krawędzi

*Cholernie dobra książka... idealnie dobrane tempo,
które ani na chwilę nie zwalnia*

STEPHEN KING

Młody złapał w Seattle autobus na północ i stał teraz, patrząc na bar i zastanawiając się, co dalej. Stał długo. Wiatr niósł zapach rozgrzanego przez słońce popękanego asfaltu, dzień zmieniał się z ciepłego w chłodny, w górze przelatywały samoloty, z pobliskiego lotniska dochodził ryk odpalanych silników i startujących maszyn. Bar jak bar, nie było na co patrzeć, ot, zwykła piętrowa buda z parkingiem wysypanym kamykami i żwirem. Pograżony w myślach Młody trącił butem kamyk i wszedł do środka.

Upił łyk piwa, rozejrzał się i odstawił szklanke. Oparł łokcie o ladę. Właśnie w takich knajpach bywał jako nastolatek — krótka lada, przyćmione światło, podejrzana klientela — wykorzystując dowód starszego brata z nadzieją, że wreszcie którąś przeleci. Był sprawcą wypadku, dostał zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci i wykreślili mu z życiorysu dwa lata. I tak miał spore szczęście — był młody i sędzia potraktował go łagodnie. Teraz włożył

czerwoną koszulę tak złachaną, że czerwień przybrała kolor wyschniętej brzoskwini. Nie nosił jej od lat, bo siedział. I teraz, w tym nowym-starym ubraniu, pachniał kurzem, pleśnią i czymś mrocznym jak pustelnia, i tak głębokim, jakby pochodziło z samej skóry.

Spojrzał na piwo. Było lepsze od sikacza, który warzyli w Monroe — szczyń pół na pół z sokiem owocowym i śliną, smakujących jak amazoński bimber. Upił kolejny łyk. To był jego pierwszy legalny drink, więc siedział, patrząc, jak skondensowana para spływa ze szklanki i tworzy na ladzie wodnisty krąg.

Nie spieprz tego, powtarzał sobie w duchu, spoglądając na innych gości. I nie gap się tak, durniu.

Kiedy Eddie podszedł do lady i usiadł, Młody miał rozmarzoną twarz, jakby odleciał gdzieś, gdzie nigdy dotąd nie był. Dzielił ich wolny stółek, a on wciąż wlepiął wzrok w szklankę, patrząc, jak bąbelki odbijają się od powierzchni piwa, pierzchają na bok i tam się zbierają.

Eddie zamówił piwo i zaczął, aż barman je naleje. Młody obserwował go kątem oka. Kiedy barman odszedł, Eddie odwrócił się i rozejrzał. Z tyłu stały dwa stoły do bilardu, w tym jeden zajęty, a pod ścianą kilka stolików z dwoma, trzema krzesłami przy każdym. Eddie usiadł prosto i przemówił do stojącej przed nim szklanki:

— To chyba ty, co?

Młody popatrzył na niego i uciekł wzrokiem w bok. Nie spodziewał się kogoś takiego, przysadzystego,

ciemnoskórego Meksykanina z dziobatymi policzkami i cieniem wąsa nad górną wargą.

— Trochę młody jesteś — rzucił Eddie..

— Jestem w sam raz — odparł Młody, prostując się na stołku.

Wiedział, jak wygląda: dwudziestodwuletni gówniarz, który dopiero od niedawna ma prawo bywać w miejscach takich jak to. Dwa lata więzienia spowodowały, że wychudł, ale miał mocniejsze mięśnie. Zhardział tam, zrobił się twardy, ale wiedział, że z malutkim jak piąstka niemowlęcia jabłkiem Adama i kozią bródką tak rzadką, że sprawiała wrażenie, jakby była nabazgrana przez dzieciaka, wciąż wygląda jak smarkacz.

— Chyba nie muszę ci tego mówić — powiedział Eddie — ale lepiej będzie, jeśli od razu załapiesz, że nie ma tu miejsca na żadne błędy. Powiedziano mi, że czegoś szukasz, więc jestem. Nie przyjechałbym, gdyby ktoś nie zaręczył za ciebie życiem. Jasne?

Młody kiwnął głową i spojrzał na rząd butelek za ladą. Poręczył za niego starszy brat. Bo to on wtedy prowadził, tylko że zaraz po wypadku zamienili się miejscami i Młody wziął winę na siebie. O mało nie zesrał się ze strachu, ale zrobił to, żeby brat znowu nie trafił do pierdła. Czysta głupota, ale dzięki temu brat uniknął kary. Teraz Młody mu pomagał, żeby wyrównać rachunki.

— Niech się pan nie martwi — odparł. — Nie będzie żadnego wypadku. Jestem niezły.

Eddie się uśmiechnął.

— Nie musisz nic mówić. Dla mnie pracujesz na własną rękę. Jesteś zwykłym zleceniobiorcą na procencie. Nie musisz mi się spowiadać. Chciałem cię tylko ostrzec, że dla twojego dobra będzie lepiej, jeśli tego nie schrzanisz.

Wstał, podziękował barmanowi i wyszedł.

Na jego stołku zostały kluczyki samochodowe. Młody nachylił się najswobodniej, jak tylko umiał, zgarnął je z winylowego siedzenia i ukrył ręce pod ladą. Dopił piwo, włożył palec w metalowe kółko i zaczął bawić się kluczykami, czując, jak kołyszają się w powietrzu.

□ □ □

Zastępca szeryfa Bobby Drake spojrział na samochód jeszcze raz. Tu, na północ od Silver Lake, narkotyki zawsze były problemem, ale w dzisiejszych czasach przemytnicy musieliby być prawdziwymi idiotami, żeby przerzucać coś przez granicę. I pomyśleć, że kiedyś obydwie kraje były jak jeden i że aby dostać się do Kolumbii Brytyjskiej, wystarczyło mieć prawo jazdy.

Kontrola była teraz ostrzejsza, ale narkotyki rozprzestrzeniały się i tak, bo zawsze znalazł się sposób na przeniknięcie przez granicę. Jeśli miało się umiejętności i doświadczenie, mógł to być niezły interes. Drake dobrze o tym wiedział. Tak jak jego ojciec, były szeryf, który siedział teraz w więzieniu. Ta ziemia, te wyrzeźbione przez lodowiec i erozję góry i doliny były wszystkim, co zostało

mu z dawnego życia. Życia, które widziało konie dorastające na pastwiskach ojca, konie, które odebrano im i sprzedano. Życia zbudowanego z jabłoniowych sadów i jesiennych zbiorów, dawno już sprzedanych i zapomnianych, życia, z którego zostało tylko drewniane ogrodzenie wrastające ze starości w ziemię i uschnięte drzewa, szkieletowate jak ręce kościotrupa. Od końca do końca życie to zostało przecięte na pół, aby nikt już go nigdy nie rozpoznał.

Wyjął lornetkę i popatrzył na karczowisko. Były to tereny leśne, wydzierzawione dużym firmom drzewnym. Wszędzie szachownice świeżo ściętego brązu i dopiero co zasadzonej zieleni. Ciągące się w dal wzgórza przechodziły w góry, w niebo strzelał biały szczyt Mount Baker. Drake pomyślał, że w takim miejscu mógłby zabłądzić każdy samolot.

Otworzył drzwi, wpuszczając do radiowozu górskie powietrze, lepki zapach sosnowych igieł, żywicy i nawianej przez wiatr mokrej ziemi. Wystawił nogę i rozmasował dolną część uda — grając kiedyś w kosza, doznał kontuzji. Był trochę za wysoki i noga szorowała po żwirze. Miał ostry podbródek i rzadniejące już ciemne włosy. Wciąż był na tyle młody, by dla utrzymania formy pograć czasem w kosza, ale powoli przestawało go to bawić i górę zaczynała brać wygoda.

Numer rejestracyjny był czysty. Drake spojrział na ekran komputera, wysiadł i podszedł do samochodu. Nie było w nim niczego rzucającego się w oczy. Brak śladów włamania.

Stał na pustkowiu, ot, zwykły samochód na poboczu drogi. Drake ukląkł i przesunął palcem po wypukłej krawędzi szerokiego śladu podwójnych kół na miękkiej ziemi. Cofnął się do miejsca, gdzie koła zjechały z jezdni, potem przeszedł na drugą stronę szosy, tam gdzie zawadziły o przeciwległe pobocze i zawróciły. Domyślił się, że musiało to być coś dużego, duża ciężarówka bez przyczepy, duży chevrolet albo ford, w każdym razie coś z hakiem do holowania. Nie wiedział co, nie przychodził mu do głowy żaden konkretny wóz, wiedział jednak — poznał to po tym, jak szersze ślady opon przecinały węższe — że ten większy przyjechał po mniejszym, a ponieważ jeździł tą drogą co dwadzieścia cztery godziny, samochód nie mógł stać tu dłużej niż dzień.

Wrócił na pobocze, by dokładniej go obejrzyć. Oślonił rękami oczy i przyłożył dłonie do szyby. W środku było czysto. Ani jednego papierka na podłodze. Myślał, że zobaczy tam chociaż torebkę z McDonalda, jakąś reklamówkę, może nawet rachunek czy coś w tym rodzaju.

Popatrzył na schodzący z gór wiatr. Usłyszał, jak mknie między gałęziami, zobaczył, jak drzewa, wszystkie naraz, wyginają się nagle niczym spieniony szczyt fali pędzącej gładko po zboczu wzgórza. Niebo było cudownie czyste, wiatr muskał mu szyję. Nie wiedział, co robi, dlaczego nie może tak po prostu odpuścić sobie tego samochodu, tych przeczuć i całej reszty. Zmagał się ze starym, znajomym niepokojem, samotnością, która spadła mu na kark. Tylko on, żona, ich życie i dom ojca, teraz już jego, bo na czas

odsiadki przekazano mu go pod opiekę.

Spojrzał na góry, popatrzył na nie przez lornetkę. Powiódł wzrokiem po skalnych grzbietach, nieruchomiejąc, regulując ostrość i sunąc dalej. Stał przez chwilę przy samochodzie. Wiatr znad jeziora porwał z ziemi kłęb kurzu i zmienił go w tańczącego derwisza. Drake wrócił do radiowozu i wywołał posterunek straży leśnej w Baker.

— Czy w okolicy Silver Lake jest teraz ktoś z Seattle?

— Nie, szeryfie, na pewno nikt z naszych.

Drake przedyskutował mu numer rejestracyjny.

— No i?

— Tam są tylko karczowiska i szlaki zrywkowe. Nie wiem, po co ktoś miałby tam łązić.

— Też nie wiem — mruknął Drake i podziękował strażnikowi.

□ □ □

Szlak był stromy, skalisty. Za trudny dla kogoś, kto nie umie jeździć i siedzieć prosto w siodle bez względu na ruchy konia. Phil Hunt spojrzał przez ramię. Wiedział, że konie pójdą jeden za drugim, że same wejdą na wzgórze i z niego zejdą, ale denerwował go Młody.

— Długo w tym robisz? — spytał.

— Nie.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia siedem.

— Naprawdę?

— Nie.

— Wyglądasz najwyżej na dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy.

— I tyle mam, mniej więcej. — Chłopak odwrócił się w siodle, by spojrzeć za siebie, na zagajnik choin i jodeł w wąskiej dolinie. Nieco dalej ciągnęło się karczowisko z rzędami świeżo zasadzonych drzew. Koń zaczął zbaczać w lewo.

— Uważaj. — Obserwując Młodego, Hunt nasunął kapelusz na oczy, żeby osłonić je przed słońcem.

— Nie wiedziałem, że tak będzie.

Hunt przemyślał to i dał sobie spokój. Pod górę i na dół, pod górę i na dół, i tak na okrągło — Młody nie mógł mieć w tym wprawy, bo i skąd. Mimo to przypominał mu jego samego w tym wieku, trzydzieści lat młodszego, chłopaka z kasztanową czupryną i skórą spaloną jak pustynna ziemia, trochę za bardzo zadziornego, zbyt pewnego siebie, smukłego niczym chart i tak jak chart wyszczekanego.

— Tu nie ma szybkich łodzi ani luksusowych przyjęć. Może robią tak na Florydzie. Ale tu jest trochę inaczej.

— Zawsze to nowe doświadczenie.

Młody chyba się roześmiał, ale Hunt się nie odwrócił. Był to ostatni kurs w tym sezonie, wkrótce góry miał pokryć śnieg. Co ten Eddie sobie myślał, przysyłając mu takiego gówniarza? Duży zrzut i głupi szczaw, który zupełnie się na tym nie zna. Może się zabić już tutaj, teraz,

wystarczy mały błąd: koń nagle stanie, a on przeleci nad łbem i spadnie w przepaść.

Konie były jego, Hunta, dwa deresze, które wyhodował na poletku za domem. Karmił je i pozwalał im się wybiegać — brązowe jak kasztan, białe nakrapiane, z wyrzeźbionymi jak w kamieniu mięśniami pędziły wokoło, dudniąc kopytami i wyrzucając w powietrze kawałki darni — na zmianę z Norą codziennie rozrzucał dla nich siano, a potem stawali razem przy ogrodzeniu i oparli się o nie łokciami, cieszyli się ich radosnym rżeniem i parskaniem. Nie wiedział, co by bez nich zrobili. Nie podobało mu się, że je do tego wykorzystuje, że kierowane niewprawną ręką jakiegoś młokosa muszą łązić po górach.

Spojrzał nieufnie na chłopaka, na wpół oczekując, że będzie siedział tyłem do przodu. Robiło się coraz chłodniej, a on był tylko w dżinsach, tenisówkach i czarnej nylonowej kurtce, która zaczęła furkotać i łopotać na wietrze, gdy pokonawszy szczyt kolejnego wzniesienia, znowu ruszyli w dół. Hunt był w skórzanych rękawiczkach, dżinsach i grubej watowanej kurtce myśliwskiej, zielonej, żeby zlewała się z otoczeniem. Na głowie miał kowbojski kapelusz, który woził w bagażniku na wyprawy takie jak ta. W kapeluszu czuł się bardziej dostojnie i lubił uchylać go przed żoną, by zobaczyć uśmiech na jej twarzy. Bardziej dostojnie i dużo młodziej, bo kapelusz zasłaniał jego krótko obcięte siwe włosy, a szerokie rondo ukrywało głębokie zmarszczki. Dał Młodemu czapkę baseballową Marinersów,

taką z regulowanym paskiem z tyłu, i na tym poprzestał.

— Pan długo w tym siedzi? — spytał chłopak, odchylając się do tyłu. Schodzili na dół i robił wszystko, by nie przelecieć nad końskim łbem i nie spaść.

— Na niczym innym nie idzie tu zarobić.

— Jak to?

— Dla kogoś z moją przeszłością trudno tu o pracę.

— To chyba coś nas łączy — odparł z uśmiechem chłopak.



Bobby Drake wbił kciuk za pas i zarzucił sztucer na ramię. Miał służbową lornetkę, ale celownik sztucera kalibru dwieście siedemdziesiąt był silniejszy. Na nogach miał górskie buty, do których zimą mógł przypiąć raki, ale tak lekkie, że chodził w nich i latem. Dźwigał plecak i czuł, jak z każdym krokiem jego płuca walczą o oddech. Był młody, skończył dopiero trzydzieści lat. Serce miał przyzwyczajone do wysiłku, do długich wypraw w góry. Miał mocne serce i ciemną jak ziemia skórę, bo latem dużo pływał i wędrował.

Do samochodu wrócił nazajutrz, wcześniej, w wolny dzień. Jeszcze raz przyjrzał się tablicom. I nic. Za nim rozciągały się szerokie błękitne wody jeziora, przed nim biegła szosa, po której sunęły tumany nawianego przez wiatr pyłu z pobocza. Machinalnie zabębnił palcami o szybę, może po to, by upewnić się, że samochód naprawdę

istnieje, że to nie złudzenie. Zajrzał do środka. Nic się tam nie zmieniło. Wszystko to razem nie dawało mu spokoju.

A teraz, kiedy tak szedł, rozgarniając wysokie górskie trawy i krzaki jagód, pomyślał o żonie, z którą pożegnał się rano, o Sheri siedzącej przy kuchennym stole nad miseczką cheeriosów w żółtawym już, mdląco słodkim mleku. Spytała go, dokąd idzie i po co. Wiedział, jak by zareagowała, gdyby jej powiedział. Niedawno się pobrali i świadomość, że jest teraz z kimś, kto co rano go sprawdza, jeszcze do niego nie dotarła. Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego zapakował do bagażnika samochodu namiot, sztucer, jedzenie i ubranie na noc w górach. To do niego nie pasowało. Nic a nic, to, że tak uciekł. Bardziej pasowałoby do jego ojca. Bobby szedł, zastanawiając się, jakim staje się człowiekiem.

Dorastał w tych górach. To ojciec go w nich wychował, zabierając co weekend na wycieczkę. Na wysokości sześciuset, dziewięciuset metrów dno doliny wyrównało się i idąc przez pola turzycy i wiechliny, brzegiem przecinających dolinę strumyków, zadarł głowę, by spojrzeć na szczyty gór.

Doleciał go zapach jesiennych kwiatów i kiedy przesunął pod nimi ręką, w dłoni zostało mu kilka zwędłych różowych płatków. Musiał wejść wyżej.

□ □ □

Hunt wyjął mapę i nie zdejmując rękawiczek, rzucił na

nią okiem. Spojrzał na zegarek i ustalił wysokość. Nocowali w kępie białych brzoź i źle spał, bo ziemia była nierówna i w plecy wbijał mu się kamień. Przez chwilę śniło mu się, że wrócił do więzienia, i znowu ogarnęło go to samotne, klaustrofobiczne uczucie, we śnie jeszcze gorsze niż przed dwudziestu laty. Zduszone echo głosów w betonowych korytarzach. Mieszkający tam nieszczęśnicy z wyżartymi duszami, słabi, wygłodzeni i bełkoczący, ich klatki piersiowe jak zbiegające się na mostku szpony. Obudził się oszołomiony z językiem w gardle, wypłynął na powierzchnię, jakby coś chciało go udusić. Przewrócił się na bok, wdychając chłodne górskie powietrze.

Ciężarówka i przyczepa zostały dzień jazdy za nimi, wystarczająco daleko, by nikt ich nie znalazł. W jednej ręce trzymał mapę, w drugiej wodze. Wjechali między jodły, więc pochylił się, by uniknąć gałęzi, wdychając zapach grubej, lśniącej końskiej sierści i mieszający się z powietrzem zapach kurzu i oliwy. Piękna była z niej dziewczyna. Był z niej dumny, dumny z tego, na jakie zwierzę wyrosła.

Jadąc brzegiem osypiska, przebili się przez gąszcz jeżyn. Młody zbierał je, siedząc w siodle, i jadł. Hunt zsiadł z konia, osłonił oczy i spojrzał na słońce. Zostały im trzy godziny światła.

— Dobra, zsiadaj i pomóż mi.

Chłopak spuścił nogę i trzymając się lęku, zsunął się z

siodła, o mało przy tym nie spadając.

Hunt wyjął z torby GPS i jeszcze raz spojrział na mapę. Stali w kępie niskich olch, wśród pni pokrytych białą błyszczącą korą, w deszczu zielonego mchu, który wiatr strącał z drzew.

— Jesteśmy za nisko — stwierdził Hunt, zerknąwszy na wysokościomierz, a potem na zegarek. Dał GPS Młodemu i ruszył dalej.

Las grubych, powykrzywianych olch ciągnął się wzdłuż strumyka przez całą dolinę i tamtędy poszli, prowadząc konie.

Nagle Młody zaklął i wyciągnął nogę z grząskiego bagniska.

— Uważaj — ostrzegł go Hunt.

— Nie myślałem, że to powiem, ale miło by było znowu wsiąść na konia.

— Musimy tylko znaleźć łąkę z widokiem na północ, tam rozbijemy obóz i damy koniom trochę pobiegać. Pilnuj GPS-u. Trzeba utrzymać te współrzędne.

— I co, na końcu tęczy stoi dzban złota?

Hunt zerknął przez ramię, uśmiechnął się i odparł:

— Przy odrobinie szczęścia znajdziemy nawet dwa.

— Mam nadzieję, że lubi się pan dzielić.

— Niespecjalnie.

Szli w milczeniu; Hunt, myśląc, co można by zrobić z takimi pieniędzmi. Szedł i dodawał w głowie dolar do

dolara. Machinalnie stawiając nogę za nogą, myślał o pieniądzach, o Norze i o ich życiu. Myślał o tym, jak im się wiodło, o tym, jacy byli, kiedy nie mogli oderwać od siebie rąk, dzień i noc, gorący jak krew w drodze do serca, wygłodniała i pulsująca.

A potem, po latach, zrobiło się tak, jakby próbowali coś wypełnić, zalać cementem pytania, wiedząc, że odpowiedzi tam są, mimo to wciąż zalewając je płynną skałą. Chodzili do lekarza, szukali rozwiązania tylko po to, by ciągle wracać do tego samego domu, tych samych sypialni i pustych wnętrz.

— Masz mi za złe? — zapytała kiedyś Nora.

Zasłony były zaciągnięte, pokój czarny jak smoła, tak że nie wiedział nawet, czy ten głos jest głosem jego żony. Odwrócony do niej plecami udawał, że śpi, ale oczy miał szeroko otwarte i czuł, jak narasta w nim tchórzostwo. Milczał, bo nie wiedział, co odpowiedzieć. Zostawiła go wtedy, po prostu wstała z łóżka i wyszła. Zawarczał silnik, a on wciąż leżał, wsłuchując się w nocne odgłosy za oknem, w szum samochodów na pobliskiej szosie, szelest wiatru mocującego się z gałęziami olch. No i tak, pomyślał, tak to się kończy. Bez rozpaczliwego wybiegania z domu, otwierania drzwi i błagania, by wróciła. Wydawało mu się, że gapił się w mrok przez wiele godzin, ale kiedy wstał, by obejść dom i poszukać choć odrobiny zbawienia, zobaczył za oknem Norę. Silnik wciąż pracował, światła

wciąż świeciły, ale samochód stał tam, gdzie stał.

Nie mieli wtedy nic, jakby wszystko im odebrano. I prawdę mówiąc — gdyby przyszło mu to komuś powiedzieć — możliwość sukcesu go przerażała. Pokonali to, co ich dzieliło, większość obaw, które dręczyły go, gdy obserwował ją wtedy w samochodzie.

Z upływem lat wypracowali swoistą płaszczyznę porozumienia, rodzaj partnerstwa, które trzymało ich razem. Wiedział, że pieniądze mogłyby dużo zmienić, dobrze o tym wiedział, zmienić na lepsze lub gorsze. Szedł przez las wzdłuż małego górskiego strumienia, szedł i myślał, aż znalazł niewielkie wzniesienie i poprowadził tam Młodego, wspinając się coraz wyżej i wyżej, do gęstej kępy sosen na szczycie. Teraz to już niedługo, już niedługo...

Za drzewami rozpościerała się duża łąka, szeroka i płaska, ze spływającym z gór strumieniem, sama trawa. W oddali przenikliwie zagwizdał świstak, witając ich w dolinie. Potem była już tylko cisza, dwóch mężczyzn prowadzących konie, szare zbocza obserwujących ich gór, rzadkie kępy drzew i skała wspinająca się jak pnącze aż do grani.

Chłopak rozejrzał się i chłonąc widok, zrównał się z Huntem.

— Zawsze pracuje pan sam?

— Prawie zawsze. — Hunt szukał pod drzewami miejsca na obozowisko. — Dlaczego pytasz?

— To widać.

— Tu nie pracuje się zespołowo.

— Chyba nie. Ten fach wymaga zupełnie innych umiejętności.

□ □ □

Wyszedłszy zza drzew i znalazłszy miejsce na biwak, Drake położył na ziemi sztucer, wyjął z plecaka karimatę i usiadł. Spojrzał na słońce, potem na zegarek. Było prawie piętnaście po piątej i od ponad sześciu godzin nic nie jadł. Na tle góry naprzeciwko zobaczył jastrzębia albo orła szybującego w kolumnie wznoszącego się powietrza, usłyszał ostrzegawcze nawoływania świstaków, gdy cień drapieżnika przeciął zbocze. Zjadł kanapkę i wyjął lornetkę.

— A czego się spodziewałeś? — mruknął z narastającą pogardą.

Spojrzał na mapę i na oko ustalił, gdzie jest. Nie wiedział, czy dobrze, czy nie, do pomocy miał tylko intuicję.

Z obozowiska roztaczał się dobry widok na dolinę leżącą poniżej i na tę, z której niedawno wyszedł. Spojrzał za siebie i odszukał mały strumień i pełną kwiatów łąkę. Siegał wzrokiem dużo dalej, aż do Silver Lake. Wyraźnie widział karczowisko na odległych wzgórzach, polanę upstrzoną krótkimi wstęgami żwiru i ziemi w miejscach, gdzie krzyżowały się szlaki zrywkowe. Odłożył lornetkę, wziął sztucer i spojrzał przez celownik z nadzieją, że wyjdzie mu na strzał ładny kozioł.

Światło było coraz słabsze i dolinę zaczynały wypełniać upiorne cienie, wystrzępione pasma półmroku pochłaniającego łąkę po łące. Oczy przystosowały się do nowych warunków. Słońce musnęło krawędź celownika i stwierdził, że osłaniając obiektyw i opierając sztucer o kamień, widzi dużo lepiej. Wyliczył, że na posterunku ma być dopiero za dwadzieścia godzin, miał więc wystarczająco dużo czasu, by usadowić się wygodnie i poczekać, aż coś wyskoczy z krzaków. Wielki las i nic oprócz rozkołysanych wierzchołków drzew.



Sundowner przeleciał nad górskim grzbietem, wyrównał i gwałtownie pochylił skrzydła, gdy uderzył w nie silny podmuch wiatru. Kadłub maszyny zadrżał bez ostrzeżenia w nocnych szarościach i fioletach: w kabinie było ciemno i twarze pilotów omywała tylko zielonkawa poświata padająca ze wskaźników na desce rozdzielczej. Dobrze po północy wystartowali z prywatnego lotniska pod Reclaim na północ od granicy i prawie osiemdziesiąt kilometrów przelecieli nisko, tuż nad ziemią. Pilot spojrzął na GPS i dał znak koledze, żeby podszedł do drzwi i przygotował ładunek.

Przez krótką chwilę ten siedzący za sterami widział tylko wznoszące się przed nimi kolejne pasmo gór na tle niebieskawej czerni. Wyciągał szyję, patrząc to w lewo, to

w prawo, oceniając możliwości i próbując wyczuć, co jest na dole. Ściągnął wolant, zatoczył nad doliną szeroki krąg i przez jakiś czas maszyna była widoczna na tle odległego białego lodowca. Zawróciwszy, zobaczył pełznącą do góry flarę: czerwona i rozjarzona, strzelała iskrami na bocznym wietrze, mimo to z uporem pięła się w górę.

Pilot zmniejszył ciąg silnika i znowu dał znak koledze. Kabinę wypełniło pulsujące czerwone światło, otworzyły się drzwi. Do środka wpadł wiatr i maszyna podskoczyła, gdy ładunek opuścił pokład i gdy drugi pilot zasunął drzwi. Ten za sterami zatoczył jeszcze jeden krąg, obserwując ładunek, który dryfował z wiatrem na spadochronie wielkim jak gigantyczna meduza. Ładunek i bezgłośnie pulsujące światełka opadającego sygnalizatora.

□ □ □

Drake obudził się nie wiadomo dlaczego w środku nocy. Przez chwilę leżał, patrząc, jak wiatr porusza ściankami namiotu. Zawsze myślał: tak to będzie wyglądało. Tak umrę, w targanym przez wiatr namiocie, na pustkowiu, bez nikogo, kto wiedziałby, że umieram. Leżał, patrzył i nasłuchiwał. Zawsze prześladowała go myśl, że coś na niego poluje, dręcząca niepewność, co czai się poza zasięgiem wzroku. Chodził po lesie od dzieciństwa, ale nigdy nie wyzbył się strachu. Lęku przed niedźwiedziami, pumami, zwierzętami większymi od niego, które mogły go

wytropić i pożreć. Leżał, wsłuchując się w swój oddech, i wtedy to usłyszał: odległy odgłos niesiony przez budzący się w dolinie wiatr. Ciche, monotonne buczenie silnika. Obroty spadły i teraz był już pewny, że maszyna zmienia pułap, krąży nad doliną jak bumerang.

Rozsunął zamek namiotu, stanął na bosaka na zimnej trawie i spojrzał w tamtą stronę. Znowu to usłyszał: zawrodozenie silnika. Równie dobrze mogła to być zwykła kosiarka, ale wiedział, że tak nie jest, nie tutaj. Wszedł księżyc, jaskrawobiały na tle granatowego nieba. Przyćmił gwiazdy, wyglądały przy nim jak blade kropeczki. Teraz go widział, samolot lecący w kierunku drzew, opadał coraz niżej i niżej, śmignął nad lodowcem i znowu zniknął w ciemności.

Podmuchał wiatru targnął ubraniem, omywając mu skórę. Tak ożywcze wrażenie i on, taki samotny nad mrocznym cieniem doliny. Czy się tego nie spodziewał? Czy nie dlatego tu był? Czyż nie pchnęło go do tego rozpaczliwe pragnienie naprawienia przeszłości, odzyskania chociaż części dawnego życia? Z dna doliny wystrzeliła flara i poleciała spiralą do nieba. Samolot skrzył w jej stronę jak pstrąg przypatrujący się przynęcie. Otworzył się spadochron. Otworzył się, wypełnił z głośnym traskiem i jak ciemna chmura zawisł nad ładunkiem i mrugającymi czerwonymi światełkami. Maszyna przeleciała nad doliną, skrzyła na północ i zniknęła za górskim grzbietem. Nie było żadnych świateł, nie było niczego. Tylko niema ciemność i pulsująca

czerwień szybującego nad doliną ładunku.



Biegli przez gęste poszycie, Hunt przodem. Spadochron złapał boczny wiatr i zносиło go na zbocze. Konie zostawili na łące i wspinali się, czasem na czworakach, czasem z wyciągniętymi rękami, żeby przytrzymać się gałęzi i krzaków.

Mogło się tak zdarzyć. To nie była mechanika precyzyjna. Mogli tylko założyć, że będzie tak i tak — jedna jedyna szansa i jeśli coś poszło nie tak, jest po wszystkim. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że gdzieś zawiśnie. Ale Hunt był ostrożny i uczciwie ostrzegł pilota: wystrzelił flarę z dużym wyprzedzeniem, żeby tamci zdążyli zatoczyć krąg i zorientować się w terenie.

— Tu zawsze tak? — spytał chłopak, kiedy zwolnili i usiedli, patrząc na ładunek leżący u ich stóp, wielki jak metalowe biurko i na oko równie ciężki.

— Co mam ci powiedzieć?

— Fajniejsza byłaby szybka łódź i palmy — zażartował Młody. Zlany potem wytarł rękawem brudne czoło.

— Jak załatwisz palmy i łódź, weź mnie na współnika — odparł Hunt, błyskając zębami w uśmiechu.

Wyjął zza pasa nóż i zaczął przecinać linki. Czasza wypełniła się wiatrem, ale po chwili opadła, odsłaniając pakunki, każdy wielkości poduszki albo dwudziestotrzykilogramowego worka mąki.